Nr. 19. Poznań, dnia 6. Maja 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo $1^1/_2$ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Jeden tylko pan Bóg i potroszę plonipotent znał prawdziwy stan interesów hrabstwa... Margocki domyślał się go raczéj niż zbadał, obawiał się bowiem na dno téj przepaści długów zaglądać. Stary hrabia miał swoje długi, miała je hrabina, miał syn starszy, a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa młodszy téż już się musiał zacząć wprawiać powoli w tę sztukę...

Margocki wiedział iż interesa były w bardzo złym stanie, że jedno niewczesne wypowiedzenie znaczniejszego kapitału mogło spowodować ruinę, ale ten miecz Demoklesa wisiał od tak dawna na włosku a nie spadał, iż można się było spodziewać, że się i dłużéj potrzyma.

Jedno tylko zabezpieczył sobie plenipotent, to własny odwrót bezpieczny, miał bowiem kapitalik w fandbriefach od czarnéj godziny, we własnéj kieszeni i w razie kataklyzmu w téj arce mógł się salwować z potopu.

W téj chwili nic grożącéj burzy nie zdawało się zapowiadać, — piorun miał uderzyć za jasnego nieba. Bawiono się w pałacu, hrabina mówiła o wyjeździe do Paryża, hrabia wybierał się do Monaco, Edmund myślał o stolicy... gdyż zniknięcie Zosi wymagało jakiegoś serdecznego lekarstwa. Miał podejrzenie wielkie iż mu ktoś tu szyki pomięszał. Ale niewiedział na kim się mścić, na Margockim, czy na rodzicach...

W ostateczności byłby pojechał dla rozerwania się do stolicy, ale nie wprzód ażby ostatecznie powrotu Zosi utracił nadzieję...

Wielka to prawda, że przepełnioną czarę jedna kropla rozlewa — tak się i tu stało. W roku przeszłym Margocki mając sobie przez hrabiego polecone wyszukanie niezwłocznie pięciu mizernych tysięcy talarów, a nie mogąc ich już wyssać z dzierżawców, napadł niejakiego Czółkiewicza szlachcica, który właśnie kawał ziemi kupował i wymodlił z niego żądaną sumę, zaręczywszy honorem hrabiów i wszystkiem najświętszem iż te w terminie za rok oddane zostaną. Były one tém nieodzowniéj potrzebne, że Czółkiewicz z obowiązał się je za majątek nabyty dopełnić. Przyszedł termin, ale nikt o nim nie myślał. Margocki powiedział sobie, że szlachcic może czekać albo kredyt znaleść; hrabia ani chciał słuchać o tém... Czółkiewicz ścigał listami, posłańcami, niegrzecznościami, nic nie pomogło. Wprawdzie dał sobie rady w istocie szlachcic, ale obrażony tu preponderencyą pańską i sposobem w jaki się z nim obchodzono, poprzysiągł że swoje talary odbierze. W chwili gdy już o nim nie myślano wcale zjawił się Margockiemu jak statua komandora na ucztę.

Czółkiewicz był prosty człek ale butę miał szlachecką ogromną; gospodarz, rólnik, nawykły do rozkazywania nie

do słuchania, z żymał się na sam cień przemocy i przymusu.

„Co to oni sobie myślą?“ burczał przez całą drogę, „myślą że ja się ich zlęknę, czy co? A co? zobaczymy, panie hrabio.“

Ogromny, barczysty, silny, czerwony, wzrosły jak niedźwiedź, kosmaty, z twarzą rozlaną, z oczyma krwawo zachodzącemi, pasjonat i krzykała Czółkiewicz łagodny był jak karmelek gdy go kto zażyć umiał, ale na sam cień przemocy zrywał się z uzdy jak szalony...

Gdy wpadł do Margockiego, plenipotent zbladł ze wzruszenia, ale nie łatwy także do uchodzenia gdy się pogniewał, starł się zaraz z Czółkiewiczem na ostro.

„Przyrzekłeś waćpan, obiecałeś, dałeś słowo,“ zarycżał Czółkiewicz, „oddaj bo będziesz infamisem... Ja wam tu pokażę co to jest szlachecką krwawicę sobie przywłaszczać! ja swoje muszę mieć! tu nic niepomoże. Minęły te czasy gdy się uboga szlachta pożyczywszy pieniądze kłaniać jeszcze musiała o nie. A mnie co do tego że wy nie macie! Weźcie u lichwiarza, sprzedajcie łyżki, ja moje pieniądze muszę odebrać!“

Napróżno go Margocki łagodził, co powiedział to szlachcica jeszcze bardziéj rozwścieklało. Od słowa do słowa, jak zaczął temi infamisami sadzić, Margocki mu drzwi pokazał, bo był w pasyi. Czółkiewicz poleciał i zrobił awanturę hrabiemu, który w cały swój majestat uwinąwszy się wytrzymywał atak z zimną grzecznością, na ostatku gdy mu Czółkiewicz począł dopiekać, zawołał kamerdynera i kazał lokajom wyprowadzić natręta...

Szlachcic silny, lokajami jak gruszkami cisnął o podłogę, stłukł zwierciadło, zgruchotał dwa krzesła i wyszedł odgrażając im. Jakoż rozpoczął proces i wypowiedział sumę natychmiast. Położenie było groźne. Inni wierzyciele jakby się ze snu pobudzili sypnęli pozwami o zaległe procenta i kapitały, których termina minęły od dawna.

Zdaje się że Czółkiewicz zawczasu rozgłosiwszy bankructwo, pobudzał do tego. Pozwy i aresztа sypnęły się jak grad. Margocki głowę stracił. Widząc to, nadzwyczaj z niego niezadowolniony hrabia wyprawił natychmiast po adwokata Fellera, który jego interesami prawnemi zawiadował. Feller przybył, miał on dawne obowiązki względem rodziny. Człek to był stary, wystygły, rachmistrz nie litościwy, — nie pojmujący by w rachuby cyfr co innego nad cyfry wchodzić mogło. Z rozkazu hrabiego poszedł zrewidować księgi i przekonać się o stanie interesów.

Po ścisłem wyliczeniu długów i szacunku dóbr, okazało się iż majątek stopniał, i że kapitały i procenta należne pokrywały go zupełnie... Hrabia oczom i uszom wierzyć nie chciał. Feller przyniósł wyciągi i przekonał go że wszystko było straconem. Edmund wezwany do pomocy przez ojca po raz pierwszy ujrzał też jaką miał przed sobą przyszłość. Hrabinie jeszcze nic nie mówiono, ale ta krzątanina w oficynach oznajmywała każdemu kto chciał czy nie wglądać w nią, że się coś złego święciło.

Latano z księgami, z papierami, wysyłano posłańców. Margocki zachorował, dostał żółtaczki i nie wychodził z pokoju... Dostać pieniędzy nie było podobna, bo rozgłos interesowi nadany przez Czółkiewicza odstręczał wszystkich. Feller nie taił iż subhastacya była nieuchronną, a jeszcze niemożna było zapewnić czy sprzedaż pokryje należności. Położenie jak najrozpaczliwsze zniewoliło Edmunda, który miał stósunki w stolicy i spodziewał się tam coś uzyskać, wyjechać z poleceniem ojca do dostojnych a bogatych krewnych i koligatów. Krewni wszakże i powinowaci są wyborni gdy się ich niepotrzebuje; dowiedziona rzecz iż w pilnym razie cofają się ze wstrętem od niedelikatnego człowieka, który śmie ich powoływać do spółki w biedzie. Hr. Edmund przejechał się tylko daremnie i powrócił ze smutnem doświadczeniem, iż żadnych nadziei mieć nie można...

Stary pan upadł na umyśle i odwadze całkowicie, po dniach całych rozmyślał, czy opium lepsze czy pistolet... Hrabina coś dowiedziawszy się płakała, modliła się, rozpaczała... Edmund chodził zadumany czując iż on by jeden familią mógł ratować sprzedając siebie i imię.

Poszedł naprzód do Margockiego, który powoli z żółtaczki wychodził, ale jeszcze z pokoju się nie ruszał, a miał przez swego hrabiego, który teraz całą winę téj katastrofy na niego zrzucał — polecony wyjazd i niepokazywanie się już na oczy.

W części słusznie zarzucono plenipotentowi iż wcześnie o złym stanie majątku nie przestrzegał, chociaż on składał się listami że to wiele kroć bezskutecznie czynił. Jeden Edmund z nim się jeszcze widywał. Margocki w chorobie téj wymizerniał, wychudł, opuścił się tak, że trudno w nim było poznać dawnego salonowego eleganta wiecznie młodego. Ton też z nim i obejście zmieniło się. Edmund wszedł w kapeluszu, przywitał się kiwaniem głowy i siadł.

„Słuchaj Margocki,“ rzekł, „ja muszę ratować ojca — niema innego wyjścia nad ożenienie. C'est dit. Czy prawda że Zosia ma sto tysięcy talarów?“

Margocki który już marzenie swe dawne musiał rzucić, odparł potakującem skinieniem głowy.

„Najprostsza więc rzecz, jeśli ojciec zapewni mi sto tysięcy żebym się z nią żenił, możemy w ten sposób ocalić główny folwark z pałacem, bo resztę landszafta pokryje...“

Margocki oparty na łokciu popatrzył i rzekł cicho: „Niech hrabia próbuje, ja się już tu do niczego nie mięszam.“

„Tu niema co próbować,“ odparł Edmund, „ale należy wprost działać i to natychmiast bo chwili niema do stracenia. Jasno się rozmówić ze starym Ostójskim... niech da sto tysięcy, a sam z siostrą żeby się zupełnie usunął. Pojmuję ożenienie z panną Zofią, ale nie z familią — ojciec się prawie zgadza, matka zupełnie.“

Plenipotent słuchał nie odpowiadając wcale. Od dwóch dni Ostójski po kilkotygodniowéj przejażdżce powrócił był na folwark. Przyspieszyła powrót jego odebrana wiadomość o smutnéj katasrofie, z któréj trzeba było ratować także swoje co się jeszcze u hrabiów miało. Na folwarku także czynność była niezmierna, strach i niepokój.

Zosia tylko pocieszała ojca że się wyniosłszy z tąd kupić coś mogą i spokojniéj pozostać w domu własnym na przyszłość.

„Cóż ty na to Margocki — no mów.“

„Mówiłem już, niech hrabia próbuje...“

„A ty byś nie był tak dobry żebyś mi pośredniczył w tém? pomógł?“

„Ja? ależ ja nie wychodzę...“

„Doktór ci już pozwolił...“

„Wprawdzie,“ dodał Edmund, „wiem iż sam się tam chciałeś posunąć, lecz sądzę że ci oddawna myśl ta odejść musiała. Byłaby to twoja dla mnie ostatnia przysługa i dowód życzliwości...“

„Ale panie hrabio — ja — i nie mogę i — uchowaj Boże, coś przeszkodzi lub się nie poszykuje znowu, winę złożycie państwo na mnie. Pan Feller dobrze z Ostójskim znajomy, jemu lepiéj przystało o taki interes się z nim rozmówić.“

Urażony tą odmową hr. Edmund udał się do Ojca naprzód, u którego już był milczące wyjednał przyzwolenie— a upoważniony przez niego posłał po Fellera, który w swéj czarnéj jedwabnéj mycce na łysinie, przyszedł ze stoicką, swą zimną krwią na zawołanie.

„Kochany doktorze (Feller był naturalrie utriusque juris) okoliczność jest następująca. Ratunek jedyny w ożenieniu.“

Doktor głową potrząsł potakująco.

„Dzierżawcą u nas jest znany wam pan Ostójski, dobry, stary szlachcic, który ma córkę i sto tysięcy talarów. Córka mi się podoba bardzo, gdy tu bywała w pałacu; stoma tysiącami z landszaftą możnaby uratować główne fundum. Mogę się z nią ożenić. Warunek jeden aby ojciec i ciocia się wynieśli. Niemogę im wzbronić widywania się z moją żoną... lecz naturalnie w pewnych warunkach...“

Tu hr. Edmund nieco obszerniéj począł warunki te określać. Feller słuchał ręce założywsy w tył, czasem zażywając tabakę, z uwagą wielką, głową tylko to w lewo to na prawo kręcił.

„Otóż kochany doktorze, ty który nas ratujesz z tego chaosu,“ dokończył Edmund, „weź jeszcze na siebie pertraktacyą o to z panem Ostójskim. Nigdy on ani mógł marzyć o podobnym dla córki losie... Skorzysta z naszego położenia...“

„Czy z nim kiedy była już o tém mowa?“ rozpoczął spowiedź prawnik.

„Ojciec mi teraz wyznał iż trochę sprawę popsuł. Powinieneś wiedzieć wszystko, kochany Fellerze. Panna Zofia bywała w pałacu, ja byłem dla niéj grzecznym i nadskakującym — hrabia się oburzył na sam cień mezaljansu; wezwał do siebie szlachcica i prosił go aby córka nie bywała w zamku. Poczem oni wyjechali zaraz za granicę... No, rzekł Edmund, „źle to jest, lecz sądzę, zdaje mi się, że się to da naprawić. Panna, jeśli się nie mylę, będzie za mną.“

Feller który tabakę zażywał, nic nie odpowiedział, spytał tylko, czy ma iść zaraz.

„Naturalnie im prędzéj tém lepiéj,“ rzekł Edmund, „proszę was... po skruszeniu pierwszych lodów ja sam przybędę.“

(C. d. n.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Świat roślin.

Nie tylko istoty chodzące po ziemi, latające w powietrzu i pływające w głębinach wód manifestują wielkie i odwieczne prawo życia. Zwierzęta tworzą stopnie piramidy, na wierzchołku któréj króluje człowiek, to uosobienie najwyższe całéj seryi zeologicznéj. Wszystko co żyje na ziemi wiąże się z sobą jednym charakterem: ruch, oddech, pożywienie, funkcye życia zwierzęcego, instynkt i nawet myśl u wielkiéj części świata żyjącego, stawia życie to pod jednem prawem natury. Z człowiekiem, cały świat wiąże się powszechnemi prawami organizacyi, a my czujemy, że podlega on temuż systematowi egzystencyi, któremu i my podlegamy. Ale na ziemi jest jeszcze inne życie, różne od poprzedniego i chociaż opiera się na jednych podstawach i elementach, rozwija się równolegle z życiem zwierzęcem i zdaje się wpośród reszty świata zamknięte samo w sobie. Jest to życie Roślin, tych istot tajemniczych, które nas poprzedziły przy stworzeniu. Roślina to pierś matki ziemi, z któréj my ssiemy pokarm życiodajny; to źródło wciąż odmładniające się na czole narury; stworzenie stojące w pośrodku między minerałem i zwierzęciem; stworzenie, którego ani rzeczywistéj wartości, ani jego piękna ocenić nie jesteśmy wstanie.

Zejdźmy więc do tego świata cichego i odosobnionego zejdźmy do téj majestatycznéj świątyni w któréj przemieszkuje dziewicza piękność — natura. Dusza tam znajdzie spokój dobroczynny, — serce, spotęgowaną miłość prawdy i dobra.

Urodzić się, rosnąć i rozwinąć w całéj sile i wdzięku, następnie pochylić, zwiędnąć i umrzeć, wprzód rzuciwszy nasienie odradzające, oto jest zewnętrzne prawo któremu ulega zarówno świat zwierzęcy, jak cała drabina gatunków roślinnych. Zachwycający fenomen — fenomen którego początek tajemniczy zostaje w ukryciu — jak w ukryciu jest przyczyna ziemi i światów zawieszonych w nieskończoności. Fenomen ten, przedmiot ciągły nauki, manifestuje się pod różnemi formami, pomimo że koło, w którem naturaliści zamknęli typy pierwotne, zdawało się skończone. Wszędzie gdzie badacz krok swój skieruje, spotyka nowe indywidua, tak że natura w ciągłem rodzeniu zdaje się niewyczerpaną. Jeżeli ilość zwierząt, począwszy od olbrzymów, a skończywszy na niedostrzeżonych okiem, niedaje się myślą objąć, o ileż większa jest ilość roślin. Od cedru libańskiego do źdźbła mchu, od wierzchołków Alp wiecznie śniegiem pokrytych, do brzegów piaszczystych kąpanych w morzu, od

szczerby w posępnéj skale, gdzie wiatr rzucił zarodek roślinny, aż do rzeki, strumienia i fontanny, których przezroczystość kryształowa daje zieloności barwę cudowną, aż do wód spokojnych, aż do kropli deszczu wykuwającéj w granitach pirynejskich sklepienia, aż do głębin oceanu, aż do kory drzewnéj, gdzie życie parazytów przemaga nad życiem naturalnem, aż do ostatecznych granic w których dwa królestwa zdają się łączyć i zlewać — natura roślinna panuje wszędzie i zasila wszystko co po niéj przy stworzeniu nastąpiło.

Na skale palonéj słońcem, pokrytéj skorupą mchu lekką, skromna roślinka wydobywa się z niewoli i wzrasta o tyle, o ile przestrzeń na to dozwala. Śladów kędy walczyła o byt swój, okiem niedostrzeżesz; a jednakże walka to była ciężka i okropna!

Oto są uwagi rzucające się najpierw umysłowi badającemu naturę. Na drugim planie uderza zachwycające prawo jedności i zarazem zmienności powtarzającéj się stale przy zmianie pór roku. Kiedy ciepły oddech wiosny oswobodzi jedną półkulę od płaszcza lodowatego, kiedy słońce zniszczy wyziewy mgliste unoszące się w atmosferze, gromadka kwiatków wydobywa się wtenczas z pod skorupy ziemnéj i wystawia delikatne koronki swoje na ostatni powiew akwilonu, zapowiadając nam przebudzenie się natury. Cudna ta awangarda nowego perjodu roślinności znika skoro rolę swą spełni, i miejsce wiosny zastępuje lato, ubrane bogatemi ozdobami flory. Ziemia stroi się w kwiaty, powietrze balsamuje tysiącem parfum; każda istotka drżąc pod swą suknią weselną, przysposabia się do tajemniczego dzieła odrodzenia. Idzie następnie jesień zamyślona, poważna i ciężarna tysiącem owoców dojrzewających na życiodajnem słońcu. Natura przed zejściem na spoczynek w cichości grobowe, jakby z żalu roztania się z życiem, rozrzuca raz jeszcze, jeżeli lód nie stężył powierzchni wody i ziemi, resztki swych farb roślinnych. Kwiaty raz jeszcze oczy czarują i zdają się ostatnim być wysiłkiem życia w walce przeciw lodowatemu zimnu śmierci. Istota roślinna stokroć więcéj wiąże się ze stanem ziemi, niż każda inna. Zmiany przez które przechodzi, z metamorfozy w metamorfozę, są manifestacyą zewnętrzną potęgi ciągłéj planety ziemskiego.

W tém prawie przewodniczącem życiu, śmierci i zmartwychwstaniu rośliny, jest pewien charakter wielkości, zabiegliwości i czułości, charakter uderzający myśl ludzką, charakter niedający się pochwycić i sformułować. Właściwość ta czyli sposób życia ukryty i zarazem widoczny obudza dziwną ciekawość badacza.

Ale zarazem między życiem naszem i życiem drzew i kwiatów, jest taki przedział, taka różnica powierzchowna, że bez bliższego poznania świat ich wydaje się nam obcym a studya nad jego egzystencyą obojętne i pozbawione interesu. Łączność ta dostrzega się raczéj w stósunkach bezpośrednich człowieka z ich światem. Jeżeli odgrzebiesz ze wspomnień dziecinnych starą aleę lipową lub dąb poważny, pod którego rozłożystemi konary igrałeś niegdyś, lub wyrysowany w twéj pamięci domek rodzicielski, jeżeli przywiedziesz na myśl piękne poranki rozkwitającéj wiosny, gorące dnie żniw i łagodnéj jesieni w któréj wesoło i gwarno zbierałeś owoce dojrzałe, jeżeli w końcu pamięć twoja wyrysuje słodkie chwili spędzone w szumiącym lesie lub na spadzistym pagórku ozłoconym zachodzącym słońcem; wtenczas doznasz uczucia sympatyi wiążącéj cię z kwiatem, ogrodem, lasem i cichemi drzewy, które świadkami były twego wesela czy téż smutku. Obrazy zmieniają się w twéj duszy; i znowu widzisz purpurowy blask wieczornego słońca i fotografię starego muru — i znowu słyszysz marzący i harmonijny śpiew słowika, a kiedy spostrzeżesz nietoperza z hałasem przerzynającego powietrze, myślisz jeszcze o strachach dziecinnych i stara niańki legenda w oczach ci stanie. Ale wspomnienia te wiążą się raczéj z tobą, niż z przedmiotami otaczającemi; tutaj nawet przebija się twoja tendencya samolubna. Nie o téj więcéj sympatyi chcę dziś z tobą mówić.

Ponieważ świat nieznany pociąga nas bardziéj niż znany, chcę ci więc przedstawić część interesu osobistego, jaki daje dla nas roślina.

Rośliny i zwierzęta — mówi poeta niemiecki — są snem natury, człowiek jéj przebudzeniem. Jeżeli tylko zechcemy zejść na chwilę do głębin życia zwierzęcego i do życia roślinnego, przekonamy się że głęboka myśl poety ma w duszy naszéj odbicie.

Na ostatnim krańcu życia, na najniższym szczeblu egzystencyi, spotykamy istoty uśpione między dwoma niepewnemi granicami dwóch królestw. Te nieme stworzenia, te anemony (zawilec), te polipy, te meduzy, wszystkie te protophyty żyją w elemencie ciekłym, są tajemnicze i przez naturalistów dotąd nie zbadane. Czemże są one? do którego królestwa należą? Są to najdawniejsi przedstawiciele życia na ziemi. Wprzód nim się człowiek na powierzchni globu ukazał, te enigmy żyjące marzyły już uśpione na granicach świata nieorganicznego i organicznego. Znajdujemy je jeszcze: dziś objawiają już one chwiejną siłę, która się udoskonalając zbliża ku minerałom, zwierzętom lub roślinom. Wahając się między temi działami zdają się niewinnie naigrawać z naszéj niedyskretnéj ciekawości.

Ale idźmy ku wyższemu rozwijaniu się seryi roślinnéj, szukajmy w niéj i odgadujmy z powierzchownych cech, sposób jakim egzystencyę swą podtrzymuje i do jakich praw się stosuje.

R o ś l i n a jest istotą uosobiającą pod formą typu specyalnego, siłę nieznaną, którą nazywamy ż y c i e m, siłę zarazem powszechną i indywidualną — mieszczącą się w sferach niedoścignionych, rzucających nam łagodne światło, w palącem słońcu którego ranne promienne użyzniają ziemię, w małym kwiatku polnym, który łodygę zwiesza nad strumieniem szemrzącym, w bluszczu i cierniu który na starość usypia na szczytach starego zamczyska. I ten typ życia, jakkolwiek różny od typu ludzkiego, jest skończonym i pełnym interesu.

Roślina oddycha, roślina pokarm przyjmuje, pragnienie gasi i snem wypoczywa. Oddycha ona jak my, powietrzem które otacza ziemię w formie sklepienia lazurowego; ale oddychanie jéj różne jest od naszego. Roślina spożywa kwas węglowy, element śmiertelny dla nas, i właśnie dla tego spożywa go, ażeby utrzymać równowagę w zasadzie powietrza. Ona je i pije, zasilają ją: woda, węgiel, amoniak,

siarka, fosfor. Organizacya cudowna korzeni i liści dozwala korzystać, co więcéj, dozwala szukać w powietrzu i ziemi pokarmów żywiących, tak daleko, jak daleko ramiona jéj wyciągnąć się są wstanie. Śpi ona, większa część posłuszna jest naturze i śpi od zachodu do wschodu; ale inne, jak nasze piękne damy wychowane w zbytkach, zasypiają późno, wstają około południa zaledwie, i to w tenczas tylko jeżeli słońce świeci i deszcz nie pada.

Stósunek tajemniczy wiąże roślinę ze światłem; godzina jéj przebudzenia i rozkwitania jest różna, stósownie do familii, do któréj należy; inne znowu stósują się jako dzieci posłuszne do pozornego biegu słońca i zachowują swe zwyczaje bez zmiany. Na tych to ostatnich Linneusz utworzył zegar Flory.

wistéj namiętności; jest nią żądza dobrobytu, wyższa konieczność rozwijania się, pragnienie życia. Omija ona przeszkody stojące na drodze, mogące powstrzymać jéj rozwój; z chciwością szuka powietrza, światła, gruntu urodzajnego wody którą wynajduje nawet w odległości pewnéj, wysyłając na zwiady z niepojętną rozstropnością, długie swe korzenie.

Posłuchajcie następującéj historyi:

W pewnem miejscu, na ruinach starego zamku, wśród gruzów rosł klon. Zdala od poziomu, po nad którym na stóp kilka wznosiły się gruzy, biedny klon umierał z głodu, głodu Tantala, gdyż u stóp muru nagiego, była dobra i pożywna ziemia.

Co powie nam głuche drżenie istoty roślinnéj walczą-



Ruiny Zamku w Trokach.

Roślina bez zaprzeczenia posiada zdolność wybierania, umie ocenić pokarm jéj odpowiedni. Z tém wszystkiem jest to istota różniąca się nieskończenie od istoty zwierzęcéj. Roślina ma broń odporną, ale nie ma zaczepnéj. Łodyga róży ma kolce, kwiat jéj trucizną usypiającą. Czyż ona nie zaostrza tych kolców w celu powstrzymania motyla w jego kradzieżach śmiałych? Czyż jéj płyn słodki nie jest w celu uśpienia owadów, gotowych zawsze kąsać i grabić jak chmary pułków kozackich?

Nie sądzcie ażeby roślina poddawała się warunkom swéj egzystencyi ślepo i jako istota bezwładna. Nie, ona wybiera, odmawia, szuka i pracuje.

Według zdania pewnego znakomitego naturalisty, roślina ma instynkt podnoszący się nieraz do stopnia rzeczy-

céj ze śmiercią? Co wyczytasz w torturach cichych i w niemem konaniu? Jesteśże zdolny ocenić całą okropność męczarni wywołanych ciągłym głodem i pragnieniem? Kto potrafi opowiedzieć to wszystko co się odbywało w organiźmie biednego męczennika?

Klon nasz, klon energiczny i awanturniczy chcąc okupić życie każdą ceną i niemogąc ziemi ku sobie przyciągnąć, jakkolwiek nieruchomy i uwięziony szedł naprzód do krainy obiecanéj, do celu swych gorących żądań.

Czy szedł? nie; ale rozłożył się i wyciągnął ramiona zrozpaczone. Korzonek na razie stworzony rósł w powietrzu, i jakby rekonesans na zwiady wysłany, kierował się w stronę ziemi urodzajnéj, którą rzeczywiście końcem zachwycił... Ach! z jakąż niedoopisania radością w niéj się

zanurzyć musiał... Drzewo oratowane było... Karmione przez to nowe źródło, rzuciło mury więzienne, pozwoliło na śmierć męczennika i cały swój organizm przeniosło na grunt życiodajny, gdzie wkrótce zielona roślinka wzrosła w rozłożyste drzewo.

Cóż powiecie o téj wytrwałości? Czyż instynkt ten nie jest podobny do instynktu zwierzęcia, a nawet powiem, do woli ludzkiéj?

Pewien znakomity botanik XVIII wieku opawiada, że w majętności swojéj, między aleą z wiążu (gatunek drzewa) i urodzajnem polem kazał wykopać rów szeroki, ażeby położyć przeszkodę rozciąganiu się rozłożystych korzeni, zanieczyszczających grunt żyzny. W tym nieprzewidzianym i okropnym wypadku, przecinającym źródło egzystencyi, cóż owe drzewa poczęły? Oto zwróciły nie przecięte korzenie w inną stronnę, przeszły poniżéj rowu i wróciły do swéj karmicielki.

Kryły się one we wnętrzu ziemi nie tylko w celu wyszukania swego pokarmu zwyczajnego, ale i w celu uniknięcia światła dziennego, ponieważ, uwaga godna zastanowienia, są w każdéj roślinie dwie części różne od siebie; jedna ziemna unikająca światła, druga powietrzna która szuka go, pożąda i pije wszystkiemi porami.

Poezya porównywa często kwiaty z kobietą. Stosowniejszem byłoby do porównania tego użyć saméj rośliny. Czyż ona nie jest podobną do kobiety, do kobiety która moralnością i wartością rzeczywistą, zanurza korzenie, czyli raczéj zasady życia familijnego na gruncie urodzajnym, i zarazem jak łodyga pachnąca wznosi się ku pięknu, światłu, unosi człowieka i dziecię ku ideałowi?... Światła! światła! wołał Goethe w chwili śmierci. Krzyk ten duszy, to pożądanie jasności, która winna przyświecać zawsze na czole człowieka, to pragnienie światła, jest ciągłym symptomatem rośliny powietrznéj, łodygi strojnéj szmaragdowym liściem i kwiatu o koronie pachnącéj.

Przenieśmy roślinę, tak zwaną kapucyńską do pokoju oświeconego zaledwie jednem oknem, a zobaczymy w krótce wszystkie jéj liście zwrócone ku niemu — t. j. ku światłu!

Wielu badaczy natury zakonstatowało to dążenie rośliny do światła, do czystego uścisku jasności.

Fakt ten przywodzi mi na myśl dzieciątka małe w kolebkach. Dzieci jak roślinki niewinne, płaszczem półsnu obwinięte, nie rozróżniając jeszcze przedmiotów i ich koloru, uparcie jednak zwracają główkę do dnia białego i światła, i jakby przeczuwając jasną przyszłość wyciągają słabe ramionka ku niemu.

Ach! jak te roślinki pełne wrażliwości nieznanéj nam uwielbiają światło i jak ciągle podnoszą by niem się zachwycać! Jakiż to dziwny i zarazem cudowny konstrast ich skromności z wielkością życzeń! Czyście widzieli np. kiedy w ciemnéj i wilgotnéj piwnicy wynędzniałą, omdlałą i pozbawioną rumieńca roślinę — niech będzie kartofel; blady i wyschły wyciąga on swą łodygę... czepia się muru i wynosi aż do otworu zkąd światło dzienne nań pada.

Widziałem pod Krakowem w głębi kopalni małą i biedną roślinkę — imie jéj nawet okryte hańbą, bo był to parazyt familii roślin, które się na kilka cali zaledwie nad poziom wznoszą. Parazyt ten, dla światła wzniósł się do wysokości 120 stóp!!...

Pewien badacz natury widział heroiczny jaźmin, który ośm razy przedarł się przez dziurawą deskę oddzielającą go od światła. Badacz ten chcąc doświadczyć uporu rośliny, za każdą razą wracał ją na dawne stanowisko, lecz roślina za każdą razą znowu koronę swoją na wierzch wydobywała.

Ponieważ jest nieskończona różnica między życiem naszem i życiem rośliny, dla tego wszystkie jéj dążenia instynktowe, i wszystkie usiłowania, zdziwiają nas tylko, ale nie wzruszają. Pytamy się np. dla jakiéj to tajemniczéj sympatyi pewne rośliny patrzą zawsze w słońce, kiedy inne na północ oczy mają zwrócone? Ciekawość nasza wzrośnie bardziéj jeszcze, jeżeli do uwag poprzednich dodamy nowe, stokroć więcéj wzbudzające zajęcia. Czy znacie kwiat ze stref południowych, który w prześlicznéj urnie zamykającéj się i otwierającéj z kolei, mieści dla spragnionego wędrowca napój słodki i pachnący? — albo ów z krainy obiecanéj Indyi który jak w zegarku porusza barwnemi dzwonkami swemi sześćdziesiąt razy na minutę? — ale w końcu tak zwaną muchołówkę, któréj liście w ten sposób się krzyżują, że owady chciwe słodkiego napoju więżą się i śmierć w nich znajdują? Cóż powiecie przedewszystkiem na wrażliwy Czułek (mimoza) któremu najdelikatniejsze dotknięcie się wystarczy ażeby upadł w odurzenie i pewien rodzaj letargu?

Ciągle wzruszenie, mówi Darwin*) delikatnych organów i nadzwyczajna draźliwość mimozy, robią ją czułą na najmniejsze dotknięcie. Mała chmurka zasłaniająca promienie słońca, lekki powiew wiatru alarmuje ją i przestrasza. W obawie burzy drży i chowa się w ukryciu. Ze zbliżeniem się nocy zamyka powieki, a kiedy sen słodki odświeży jéj wdzięki, budzi się i wita jutrzenkę... Tak drżąc ciągle na swéj cienkiéj łodydze jakby na igle magnesowéj, wszystkie poruszenia zwraca ku ukochanemu słońcu.

Ach jakaż niepojęta wrażliwość mieści się w roślinach! W krainach podzwrotnikowych są całe łany pokryte roślinami równie jak mimoza wrażliwemi. Na tętent nadbiegającego konia kurczą się one jakby ze strachu. Za zbliżeniem się człowieka pochylają korony. Cień chmury wystarcza do poruszenia całéj grupy. Są one nieledwie nerwowe. Narkotyk, tak jak i w człowieku osłabia ich wrażliwość. Mimoza skropiona opium usypia i staje się nieczułą; elektryczność zabija ją. A jednakże rzecz dziwna, można mimozę z niektóremi wrażeniami oswoić! Naturalista Desfantaines wziął ją z sobą do powozu; przestraszona hukiem drżąc pochyliła się sama na siebie, następnie zwolna przyzwyczaiła i wróciła do zwykłego spokoju. Lecz kiedy powóz się wstrzymał, zdawała dziwić i przestraszała znowu.

*) Miłość roślin — Darwina.

KASZTELAN.

OPOWIADANIE FRYDERYKA HR. SKARBKA*).

Między kawalerem a panną, myślącemi o ustaleniu losu swego przez ożenienie, zachodzi wielka różnica na niekorzyść ostatniéj: bo kawaler szukać może a panna czekać musi, aby ją szukano; pierwszy może wybierać między pannami na wydaniu w całym nawet kraju, a druga tylko między konkurentami którzy się o nią zgłaszają. Jestto podobna różnica do téj, jaka zachodzi między pająkiem siedzącym w środku siatek rozpiętych na łowienie much które w nie wpadną, a samą muchą co lata swobodnie brzęcząc i kąsając lub napawając się słodyczą, na którą po drodze natrafia.

Spostrzegam się że to porównanie, które mi się z pod pióra wyśliznęło, nie jest bynajmniéj pochlebne dla mnie, bo rzuca na mnie podejrzenie jakobym kiedy chciała zakładać siatki dla chwytania tych, coby się w nie złapać dali. A jednak nikt mi takiego zarzutu czynić nie może; bo jeżeli w pierwszéj młodości mogłam tuszyć sobie że mnie ktoś, dla dość gładkiéj twarzy i dla pewnego posagu, za przedmiot swoich myśli obierze, to taka zarozumiała nadzieja znikała w miarę przybywania lat i ubywania posagu, tak iż mogłam przewidywać, iż każdy z daleka mijać będzie sidła jakiebym zastawiać chciała.

Położenie moje było bardzo smutne po trzech doznanych zawodach; bo pierwszy zostawił mi żal ukryty w sercu, drugi wyrzut sumienia za lekkomyślność w wyborze, a trzeci oburzenie z powodu doznanego poniżenia. Przestałam łudzić się nadzieją, zwątpiłam zupełnie o możności zawarcia małżeństwa, i zwolna doszłam do rezygnacyi, która mnie uczyła wynajdywać pociechy i przyjemności w stanie panieńskim na którym musiałam poprzestać. Odbyło się we mnie zupełne przeobrażenie w usposobieniu duszy mojéj; nastąpił w niéj ten spokój uczuciowy jaki nastaje kiedy przestajemy pragnąć i spodziewać się, gdy namiętności osiadają na dnie duszy i tak się ukrywają, że żadne zewnętrzne wrażenie do nich nie trafi i podburzyć ich nie zdoła.

Lata mijały, a z niemi marzenia i nadzieje moje. Rodzice nie doczekali się postanowienia mego i zeszli z tego świata błogosławiąc nam i wnuczkom, które im siostra moja przysposobiła. Wioski nasze sprzedane zostały, pozostawiając nam znacznie uszczuplone schedy, a témsamem dla mnie tak mały posag, że nie mógł zastąpić braku powabów, któremi nikogo szczerze zająć nie mogłam. Połączyłyśmy z siostrą ojczystą spuściznę naszą, postanowiłyśmy nie rozłączać się z sobą, a ja oddałam pod jéj zarząd wszystko co mi się zostało. Już parę lat żyłyśmy spokojnie w rodzinném kółku naszém, ja z rezygnacyą osoby która nic więcéj nie pragnęła, a ona szczęściem małżonki i matki, które wszystko inne zastąpić może: kiedy obojętna na pozór okoliczność, stała się niespodzianie powodem do pewnego niepokoju w domu i chwilowo wystawiła mnie na posądzenia i zarzuty na które bynajmniéj nie zasługiwałam.

W domu, w którym zajmowaliśmy lokal parterowy, mieszkał na pierwszem piętrze bogaty i podeszłego wieku kasztelan, bezdzietny wdowiec, który straciwszy w młodym wieku ukochaną małżonkę, nie chciał nigdy zawrzeć powtórnych związków, bo utrzymywał: iż nie można dwa razy w życiu natrafić na towarzyszkę, coby posiadała wszystkie warunki zapewnienia prawdziwego szczęścia mężowi. Ułożywszy swoje interesa tak aby się osobiście niemi nie zajmował, osiadł od dawna w stolicy i żył swobodnie z dawnymi przyjaciółmi i współczesnymi znajomymi; gromadził ich u siebie na obiady i wieczory i był tak szanowany i kochany, iż dom jego był znany w Warszawie jako punkt zbierania się tych wysłużonych członków wyższego towarzystwa, którzy nie mogli się oswoić z wymaganiami eleganckiego świata, i na tém tylko zakładali usiłowania swoje, aby dawne obyczaje od zupełnéj zagłady ochronić.

Ale za to nie miał kasztelan koło siebie tych serc kochających, które otaczają rodzinną troskliwością wszystkie chwile ukochanego naczelnika rodziny i nie dozwalają mu dopuścić téj myśli, że jest sam na ziemi, kiedy w domowéj samotności i gości pozbawiony długie chwile pędzić musi. Miał on w różnych częściach kraju, bliższych i dalszych krewnych, którzy obliczali lata upłynąć mogące przed prawdopodobnym kresem życia jego i terminem objęcia po nim sukcesyi; a w saméj Warszawie zostawał poniekąd pod dozorem dwóch najbliższych spadkobierców, największy udział w pozostałości jego mieć mogących, którzy czuwali nad tém aby ktoś w nim zbyt życzliwych uczuć nie wzbudził, aby na starość nie dał się wciągnąć w jakie związki małżeńskie i aby przez dary lub zapisy nie naraził krewnych swoich na to, aby z familii majątek jego nie wyszedł.

Główną reprezentantką spólnego interesu spadkobierców, była siostrzenica kasztelana, wdowa po generale, należąca do wielkiego świata, żyjąca zbyt wystawnie aby dochody jéj na utrzymanie domu wystarczały, która pokładała całą nadzieję w sukcesyi, aby pokryć kiedyś uszczerbek w majątku przez wieloletnie przewyżki wydatków uczyniony, a ujawniony licznemi hipotecznemi i ręcznemi obligacyami. Dla niéj nie było straszniejszéj katastrofy, nad opanowanie kasztelana przez przebiegłą kobietę, którаby w nim dziecinną przychylność wzbudzić i nawet do zawarcia związku małżeńskiego skłonić potrafiła. Dla tego czuwała ciągle nad stosunkami jego z płcią piękną, i dozwalając mu żyć z mężczyznami, zapobiegała temu starannie aby się dla jakiéj panny lub wdowy zbyt przychylnym nie okazywał.

Drugą osobą nie tylko wyczekującą na spadek po kasztelanie, ale wyzyskującą obecnie jego względy, był młody jego synowiec Artur, który eskontując dziedzictwo po rodzicach własnych i po stryju, utrzymywał się w Warszawie z zasiłków przez niego dostarczanych i z długów na spo-

*) Jest to ostatni utwór powieściowy zmarłego przed kilku laty autora, z rękopismu wyjęty. (Przyp. Red.)

dziewaną fortunę zaciąganych. Sprzykrzywszy sobie gospodarstwo, w którém psy i konie część intraty zjadły a niewyrozumiali żydzi, zboże na pniu za długi zabierali, osiadł on stale w Warszawie, licząc bardziéj na łatwość wyzyskiwania nowych wierzycieli, którym się jako panicz przedstawiał, jak na własne zasiłki, i pewnym był że zdoła mieć powodzenie w wielkim świecie, które go do rzędu Koryfeów złotéj młodzieży powoła. Artur nie przedsiębrał nic przez siebie, ale był pomocnikiem i wykonawcą woli generałowéj, gdy szło o to aby zapobiedz temu żeby stary, jak zwykle mawiała, jakiego głupstwa nie zrobił.

Podrzędnym sprzymierzeńcem i agentem generałowéj był kamerdyner kasztelana, którego ona przy nim umieściła po śmierci wiernego sługi jego, i który umiał pozyskać łaski i zaufanie swego pana, aby go szpiegować i zdradzać, gdy tego generałowa wymagała, za co oddzielnie przez nią był płatny.

Pozbawiony nieodstępnego towarzystwa w domu swoim, i nudząc się często w samotności swojéj, szukał kasztelan znajomości naszéj, gdy się przekonał po kilko miesięczném sąsiadowaniu, że w naszem kółku panowało spokojne szczęście rodzinne, które miłe wrażenie czynić mogło na godnym starcu téj przyjemności pozbawionym. Był on pierwszy u nas i ujął nas od razu uprzejmością i słodyczą charakteru swego. Z obojętnych sąsiadów staliśmy się w krótce nawzajem pożądanemi gośćmi; kasztelan przepędzał u nas wieczory w których nie przyjmował u siebie; grywał skromną partyjkę ze szwagrem i kolegami jego, za daleko niższą cenę jak u siebie; lubił z nami rozmawiać i bawić się z dziećmi siostry, którym znosił cukierki i zabawki; w rocznicę imienin w naszéj familii, występował z bukietami i z małemi upominkami; prosił nas często do siebie, okazywał nam zawsze szczególną przychylność: słowem stał się dla nas tym ukochanym przyjacielem, za którem się tęskni i z radością wita i doszedł z nami do téj zażyłości, która mu rodzinne stosunki zastępowała. Ale te właśnie stosunki nie mogły się podobać generałowéj, która w każdem dobrem słowie kasztelana do kogo obcego wyrzeczoném, upatrywała ubliżenie życzliwości jaką był winien własnéj familii, a w każdym choćby najmniejszym upominku uszczuplenie jéj dziedzictwa. Widząc wszystko co się w naszym domu działo, trwożyła się generałowa coraz większą życzliwością kasztelana dla nas, i uznała że nadszedł czas aby, jak mówiła, wystąpić stanowczo przeciw intrygom naszym, i zapobiedz temu iżbyśmy zdziecinniałego już starca nie opanowali. Ale na to trzeba było nas poznać, naocznie się przekonać na jakiéj stopie żyjemy z kasztelanem i złapać nas poniekąd na gorącym uczynku téj przyjacielskiéj zażyłości, która była w jéj oczach oczywistym dowodem moich złych zamiarów. Uwiadomiona przez kemerdynera o dniu w którym byliśmy zaproszeni na wieczór do kasztelena, postanowiła niespodzianie wpaść do niego i przypatrzeć nam się choć chwilkę podejrzliwem okiem osoby beż żadnego powodu przeciw nam uprzedzonéj.

Był to dzień imienin młodszéj córki siostry mojéj, w którym kochany nasz sąsiad chciał sprawić niespodziankę ulubionéj przez siebie dziewczynce i przyjąć ją jako solenizantkę, z pewnem wystąpieniem, czego dowodziła cukrowa jéj cyfra figurująca na środku tortu zastawionego przy herbacie.

Zajęliśmy właśnie miejsca u stołu; kasztelan siedział między uradowanemi siostrzeniczkami memi, ja z ich rodzicami naprzeciw niego; w tém otwierają się szeroko drzwi salonu, wchodzi niemi żywo generałowa, bez poprzedniego zapowiedzenia, zatrzymuje się chwilkę, patrzy przez lornetkę na nasz stół poniekąd familijny, i wyczytuje w uśmiechniętém obliczu kasztelana miłe wrażenie, jakie na nim ta dziecinna feta czyni, a przybierając wymuszony na sobie wyraz uprzejmości, zbliża się do niego, całuje go w rękę, nam wszystkim grzecznie się kłania i mówi z kwaśno słodkim uśmiechem: „Kochany wujaszek ma widzę miłych gości, niech będzie łaskaw mnie im zaprezentować.“

Na rozweseloną dotąd twarz starca, zaszła źle ukryta chmurka niechęci, jaką się czuje kiedy nam się coś na przekór dzieje; zaprezentował nam generałowę, która przypatrując nam się przez szkiełko, szydziła w duchu z tego, żeśmy z miejsc powstali i z pewném poszanowaniem, a dosyć niezgrabnie, na jéj ukłon odpowiedzieli.

„Niechże generałowa siada między nami, tam przy tych paniach, bo ja muszę siedzieć między temi panienkami, dla których wyprawiam tę skromną fetkę. Widzisz kochana kuzyno, że to prawie familijna uroczystość i mnie się zdaje, że to są moje wnuczki bo mnie zawsze dziaduniem nazywają.“

„Szczęśliwe są te panienki“, odrzekła generałowa ze złośliwym uśmiechem, „że umieją wzbudzić w wujaszku te uczucia, których własna jego familia wzbudzić nie może.“

Surowo spojrzał kasztelan na siostrzenicę swoją, ale milczał, i po chwili namysłu rzekł:

„Nie mówmy o tém, niech generałowa siada.“

Z wyraźną niechęcią układała ona żywo fałdy swojéj sukni aby zająć miejsce między nami, a nie patrząc na nas dodała: „Bardzo mi miło zrobić bliższą znajomość z paniami, które umiecie uprzyjemniać chwile kochanego wuja mego, pozbawionego niestety pociechy mieć przy sobie prawdziwych wnuków swoich.“

„Ani żadnych dalszych krewnych którzyby ich miejsce przy mnie zastąpić chcieli“, dodał z przyciskiem kasztelan.

Widząc że rozmowa przybiera dążność kwaśniejszą, chciałam ją odwrócić i rzekłam:

„Pan kasztelan tak dalece popsuł dobrocią swoją siostrzanki moje, iż im się zdaje że mają rzeczywiście prawo do jego łaski i że jéj nadużywają.“

„O! takim panienkom wolno jest łudzić się mniemaniem że podbiły serce tak zwanego dziadunia“, dodała z gorzkiem uśmiechem generałowa, zwracając na mnie bystre spojrzenie, „takie dziecinne zaloty nie są dla niego niebezpieczne.“

„A jakież to zaloty mogłyby być niebezpieczne dla mnie? Dawno wyszedłem z lat w których się o podobnych rzeczach myśli. Gdyby mi się jakie dwadzieścia lat wróciło...“

„Lata nie mają czasem nic do tego“, odparła generałowa poprawiając żywo suknię swoją i zwracając skośne wejrzenie na mnie.

„E! dajmy pokój temu, bo takie próżne gadaniny tylko mi humor psują. Gdzie generałowa dziś jedzie na wieczór, boś się przecież nie do mnie tak wystroiła?“

„Będę w teatrze, a potém na wieczorze u księżnéj.“

„O! to wielki czas jechać, bo stracisz uwerturę“, rzekł kasztelan spojrzawszy na zegarek, „już siódma dochodzi.“

„A prawda“, rzekła generałowa, zerwała się z miejsca, przybrała uprzejme spojrzenie, kiwnęła nam kolejno głową, udała że kasztelana chce w rękę pocałować i szybko wybiegła z pokoju.

Gdy wyszła odetchnął kasztelan, jakby mu jaki ciężar spadł z serca; uśmiech wrócił na twarz przez chwilę zasępioną i bawił się z dziewczynkami i z nami wesoło przez resztę wieczoru, lecz nie uczynił żadnéj wzmianki o wizycie generałowéj.

(Dokończ. nast.)

MIEJMY NADZIEJĘ!

Miejmy nadzieję! — nie tę lichą, marną,
Co rdzeń spruchniały w wątły kwiat ubiera —
Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.

Miejmy nadzieję! — nie tę chciwą złudzeń,
Ślepego szczęścia płochą zalotnicę —
Lecz tę, co w grobach czeka dnia przebudzeń
I przechowuje oręż i przyłbicę.

Miejmy odwagę! — nie tę jednodniową,
Co w rozpaczliwem przedsięwzięciu pryska —
Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową
Nieda się zepchnąć z swego stanowiska.

Miejmy odwagę! — nie tę tchnącą szałem,
Która na oślep leci bez oręża —
Lecz tę, co sama niezdobytym wałem
Przeciwne losy stałością zwycięża.

Miejmy pogardę! — dla wrzekomej sławy,
I dla bezprawia potęgi zwodniczej —
Lecz się nie strójmy w płaszcz męczeństwa krwawy,
I nie brząkajmy w łańcuch niewolniczy.

Miejmy pogardę! — dla pychy zwycięzkiéj,
I przyklaskiwać przemocy nie idźmy!
Ale nie wielbmy poniesionéj klęski,
I ze słabości swojéj się nie szczyćmy.

Przestańmy własną pieścić się boleścią!
Przestańmy ciągłym lamentem się. poić!
Kochać się w skargach — jest rzeczą niewieścią,
Mężom przystoi w milczenia się zbroić.

Lecz nie przestajmy czcić świętości swoje,
I przechowywać ideałów czystość —
Do nas należy dać im moc i zbroję,
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość!

El...y.

MICKIEWICZ WE WŁOSZECH.

(Ciąg dalszy.)

Zima ubiegła jak sen. Oprócz zwykłych wieczorów przy ulicy Mercede, gdziekolwiek Ewunia ruszyła się z matką, wszędzie spotykała Adama. Wchodząc w niedzielę pod sklepienia św. Piotra, widziała go zawsze wspartego o kolumnę, spotykała jego wzrok tak wymowny. Na każdéj przechadzce do starożytnych ruin znalazł się zawsze Adam. Nie były to właściwie umawiane schadzki, ale czasami wieczorem hrabina rzuciła mimochodem słówko, poeta podejmował je w przelocie, czasami nawet prosty instynkt serca prowadził go w strony gdzie miała być Ewunia.

Pozostała jéj szczególniéj w pamięci przechadzka po cmentarzu protestanckim, gdzie odwiedzała z matką grób znajoméj; ztamtąd poszli do poblizkiego pomnika Cajusa Cestyusza, zbudowanago w kształcie piramidy egipskiéj. Przejście było trudne przez jakąś wodę. Adam pochwycił ją jak piórko i postawił przy starożytnym pomniku. Ewunia przelękła się, zapłoniona nie śmiała podnieść oczów.

W kilka miesięcy potém, darował jéj Adam odłamek kryształu skalnego znaleziony u stóp Mont Blanc. Prosił aby kazała wykuć z niego pieczątkę i wyryć na niéj pomnik Cajo Cestio, a poniżéj dwa słowa: Oby razem!

„O! ja nie chcę takiego grobowego wspomnienia“, zawołała, „co gorsza, grób pogański!“

„A więc“, rzekł Adam, „każ pani wyryć: Złóżmy na Pana staranie.“

I tak się stało, pieczątka ta istnieje dotąd.

Na jednéj z tych miłych przechadzek, Ewunia ośmielając się coraz bardziéj, opowiadała mu żartobliwie jakim się przedstawiał w jéj wyobraźni wprzód zaczém go poznała.

„Kto wié“, odrzekł Adam, „czy mnie nie krzywdzi ten wysoki w popielatym surducie. Gotówbym mu doprawdy zazdrościć!“

Hrabia żądał mieć portret, pędzla sławnego malarza Crafonaro. Ewunia w błękitnéj sukience chodziła z matką do pracowni artysty. Adam uprzedzał je zwykle w towarzystwie Statlera. Posiedzenia przeciągały się zazwyczaj bardzo długo; było ich kilkanaście. Ożywiał je poeta ciekawém opowiadaniem, a niekiedy rozprawami o literaturze i historyi. Gdy w wiele lat późniéj Ewunia odczytywała sławne prelekcye, przypominała sobie w wielu z nich słowa zasłyszane niegdyś w pracowni Crafonare'go.

Nadeszła wiosna. Słońce marcowe, tak pogodne, tak

ciepłe pod włoskiem niebem, rozwinęło drzewa i kwiaty. Z wiosną zaczęły się urocze wycieczki w okolicę. Należało do nich zwykle około dwanaście osób: hrabia S. z żoną, Ewunią i Marceliną, Adam z nieodstępnym towarzyszem, Strzelecki z wychowankiem, malarz Statler, Garczyński i inni. Wspomnimy tu kilka z tych uroczych przejażdżek. Może nie jeden z ziomków naszych, zwiedzając kiedyś Tivoli, Frascati lub Subiaco, szukać będzie w tych miejscach śladu stopy wielkiego wieszcza, którego imię tak jasno przyświeca nad narodem.

Pierwszą wycieczkę odbyli do ujścia Tybru w Fiumicino. Cudna ta droga przez kampanię rzymską, nad mętnym Tybrem jak go nazwał Wirgilli. Zwiedzali razem piękny kościół Ave Marya Stella, zbudowany na skale po nad rzeką. Szczególna niespodzianka czekała ich na wyspie Isola Sacra. Oglądali właśnie gruzy świątyni Jowisza, onéj świątyni, z któréj głosili niegdyś wieszczby starożytni augurowie. Ewunia z towarzyszką zrywała myrty rosnące na zwaliskach. Mickiewicz poruszony widokiem miejsca, zaimprowizował wśród tych myrtów.

Ledwie że skończył, pojawia się dziwna postać. Cyganka śniada, z błyszczącém okiem i ogorzałą cerą, odziana w czerwony płaszcz, występuje nagle z po za odłamów muru. Wszyscy garną się do niéj, każdy żąda, aby wywróżyła mu przyszłość. Kobieta ujmuje rękę Marceliny, przepowiada iż w krótce zostanie zakonnicą. Gdy przyszła koléj na Ewunię, wróży jéj że będzie miała dwóch mężów. Łatwo zrozumieć wstyd i zakłopotanie panienki!

Zabrano się do powrotu; Adam jechał razem z paniami. W krótce jednak wysiadł znęcony widokiem prześlicznych myrtów, rosnących koło drogi. Tymczasem ktoś inny zajął miejsce jego w powozie. Piękny dzień zakończył się smutno dla Adama, kto wié, może i dla Ewuni!

Lepiéj powiodła się druga wycieczka do Albano. Tu już żadna cyganka nie zmąciła niewczesną wróżbą czaru chwili obecnéj. W Frascati zostawiono powozy, dalsza droga dostępna tylko dla mułów i osiołków.

Prześliczny to był poranek. Na niebie tak różowo, tak przezroczysto, na ziemi tak zielono i świeżo. Grube krople rosy świeciły jak dyamenty na listkach wawrzynu i myrtu. W Rzymie deszcz rzadkiem bywa zjawiskiem; bogactwo roślinności utrzymuje tu tylko obfita rosa. Głęboka cisza panowała na szerokiéj przestrzeni. Koniki polne pobrzękiwały w trawie. Do pełnego uroku brakowało tylko świergotania słowików, na co Adam bardzo się żalił.

Przybyli wreszcie do Albano. Tu hrabia S. wdał się ze Strzeleckim w uczoną rozprawę o Tacycie i Liwiuszu. Reszta towarzystwa odpoczywała na wyżynie w pośród zwalisk, ogarniając okiem to Rzym rysujący się malowniczo w oddaleniu, to gruzy starożytnéj Alby Eneaszowéj, sterczące tuż przed okiem u stóp wzgórza.

Pan Edward chciał zapisać jakiś szczegół. Ewunia podała mu maleńką książeczkę do notatek, która nigdy nie odstępowała ją w wycieczkach. I otóż śrubka odczepiła się od ołówka. Próżno pan Edward szuka jéj tu i owdzie. Siada wreszcie, kreśli na karce żartobliwy wierszyk:

Śrubkę zgubiłem
Ach ja nieszczęsny!
Cóż ja zrobiłem i t. d.

Adam, który był przy nim, spogląda na słowa nakreślone; wydziera mu książeczkę z ręki.

„Godziż się“, zawoła, „pisać takie rzeczy, na takiéj kartce?“

Oddalił się, zasiadł na ruinach, po chwili złożył książeczkę w ręce Ewuni. Rzuciła na nią okiem: spłoniona odczytała te słowa:

Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą
Co na twém czole połyska;
Gdybym się zmienił w tę szatę mglistą
Co piersi twoje przyciska:

Drżeniabym serca twojego badał
Czy nie odpowie mojemu,
Z twojém się łonem wznosił i spadał
Posłuszny tchnieniu twojemu.

Gdybym się zmienił w wietrzyk skrzydlaty
Co dysze w pogodném niebie,
W drodzebym mijał najświeższe kwiaty,
A pieścił różę i ciebie.

Może nakoniec Bog litościwy
Pracęby moją ocenił,
Może nakoniec byłbym szczęśliwy
I w twe się serce zamienił.

Ewunia odczytała to drżąca jak listek, serce jéj uderzyło, niewysłowiona jakaś trwoga opanowała ją całą. To co brała dotąd za prostą grzeczność ze strony poety, byłożby rzeczywistem uczuciem? pytała sama siebie. I zasłona spadła z jéj oczu: odgadła całą prawdę. Mimo trwogi czuła się szczęśliwą, szczęśliwszą niż kiedykolwiek w życiu!

Wracając obrano inną drogę, pysznym lasem dębowym la Ricia, potém urwistym brzegiem pięknego jeziora Gandolfo: przez całą drogę Adam szedł przy mule Ewuni.

Ojciec zajęty pomnikami staréj Alby i rozprawą o Liwiuszu, nie spostrzegł żywszego w tym dniu rumieńca na licu jedynaczki. Matka milczała. Marcelina tylko jako starsza o lat kilka, za powrotem do domu jęła ostrzegać Ewunię aby się miała na baczności.

„Pamiętaj“, mówiła, „ojciec nigdy nie pozwoli na te związki!“

Ewunia czuła to sama, a jednak opanowana dziwnym, nieznanym dotąd czarem, miałaż siłę wyłamać się z pod jego wpływu.

Przejażdżki te tak miłe, następowały w ślad po sobie. Dnia jednego towarzystwo całe udało się powozami do Tivoli, daléj na mułach puściło się brzegiem rzeki Anio. Nic piękniejszego nad tę drogę. Po jednéj stronie, na przestrzeni dwóch mil biją z gór maleńkie potoczki, sławne kaskatelle, w cieniu rozkwitłych laurów i pomarańcz, z drugiéj strony ciągnie się gęsty las oliwny. Wiele z tych drzew, dziś wypróchniałych, a jednak zwieńczonych w górze zieloną, rozłożystą koroną, ocieniało wille Horacego, Katulla, Mecenasa. Adam stąpał przy mule Ewuni, zasłaniając ją od stromych brzegów. Piękność miejsca, bogactwo

przywiązanych doń pamiątek, a do tego obecność miléj Ewuni, wszystko to głęboko utkwiło w wyobraźni naszego wieszcza. Nie improwizował wcale w tym dniu, później za to napisał śliczny wiersz jéj poświęcony, malujący wiernie miejscowość.

Znasz-li ten kraj
Gdzie cytryna dojrzewa?
Pomarańcz blask
Majowe złoci drzewa?
Gdzie wieńcem bluszcz
Ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi,
Znasz-li ten kraj, ach tam, o moja miła,
Tam był mi raj, pókiś ty ze mną była!

Te wycieczki tak były przyjemne dla całego towarzystwa, że przedsięwzięto dalszą ku Abruzzom. Była to raczéj pobożna pielgrzymka. Hrabina pragnęła od dawna odwiedzić klasztor Augustyanów w Genezzano, gdzie jest obraz Matki Boskiéj słynący od wieków cudami. Genezzano leży w górach, w miejscu gdzie południowe Apeniny przybierają nazwę Abruzzów. Trzema jak zwykle powozami, nasi turyści udali się naprzód do Palestryny, odwiecznéj stolicy Etrusków, zwanéj w starożytności Preneste. Tu podziwiali sławne mury Cyklopów, złożone z olbrzymich płyt granitowych, sterczących jak orle gniazda nad urwiskami.

W Palestrynie wypadał nocleg. Pomieszczenie znalazło się wygodne, inaczéj rzecz się miała z wieczerzą; trzeba było poprzestać na suchych figach i sałacie. Nie zmąciło to jednak powszechnéj wesołości. Nazajutrz o piątéj z rana, w cudny poranek kwietniowy, puszczono się na mułach do Genezzano.

Pielgrzymi nasi przybyli w samą porę, udali się wszyscy do kościoła. Adam gorąco się modlił; uważała Ewunia że przeklęczał całą mszę przed cudownym obrazem. Po nabożeństwie szepnął jéj, że uczynił pobożne wotum: jeśli prośba jego zostanie wysłuchaną, wzniesie złocisty ołtarz dla Najświętszéj Panny. Nie tłumaczył się jaśniéj, Ewunia przecież odgadła o co się modlił tak żarliwie.

Księża Augustyanie zaprosili gości do refektarza. Ksiądz kanafarz wniósł na tacy tyle szklanek ile było osób obecnych. W każdéj był cukier miałki i parę żółtek. Prosił wszystkich aby rozbili owe żółtka.

„Cóż to? mają nas tu za suchotników?“ rzekł Adam z uśmiechem, „skoro nam dają Hogiel Mogiel!“

Wyjaśniła się zagadka, gdy kanafarz przyniósł ogromy dzban gorącéj kawy, i wlewał ją do szklanek, zalecając rozbijać jeszcze dopóki się wszystko nie zmięsza. Ewunia zapewniała nas że nigdy w życiu nie piła lepszéj kawy. I późniéj nawet pijała ją często w ten sposób.

Po śniadaniu goście zabrali się do powrotu. Ojcowie opatrzyli ich obrazkami. Adam zaszył swój obrazek w szkaplerz i nosił go jak mówił na piersi. W tym dniu bardzo był poważny i zamyślony.

W Palestrynie turyści opuścili muły a wsiedli do powozów. Hrabia S. jechał ze Strzeleckim. Prowadził z nim uczoną rozprawę o starożytnościach etruskich. Adam zajął miejsce w powozie pań. Przez drogę ożywił się i rozweselił. Grał z hrabiną w szubieniczkę, potém w cetno i licho; za każdą przegraną improwizował po cztery lub ośm wierszy.

Po téj dalekiéj wycieczce, nastąpiła inna jeszcze dalsza do starożytnego opactwa Benedyktynów w Subiaco leżącego w Abruzzach. Piękna to była droga brzegiem rzeki Anio. Z żadnéj może przejażdżki Ewunia nie zachowała tylu wspomnień. Osiołek jéj przeląkł się szumu kół młyńskich w Vicovaro. Adam przyskoczył, pochwycił go za cugle, i przez całą drogę szedł ciągle przy jéj boku.

Upał mocno dokuczał.

„Siądź pan na muła swego“, nalegała Ewunia, widząc jak bardzo był znużony. „Lepiéj się pan przypatrzysz okolicy: kaskady takie piękne.“

„Co mi tam kaskady“, odparł, „ja wolę patrzeć w błękitne oczy pani.“

„Nie mów pan tego“, odrzekła figlarnie, „a któż to niedawno napisał: Kobieto, puchu marny.“

„Kto pani to dał czytać?“ zawołał żywo. „Za młoda jesteś na to!... te rzeczy nie dla ciebie!“

Dziwnie urocza droga wiła się w pośród kwitnących laurów, między któremi odbijały ciemne cyprysy. Adam prawdziwie był oczarowany. Nad wszystkie drzewa i krzewy przekładał on wtedy cyprys. Ilekroć zobaczył piękną gałązkę, łamał ją i dawał Ewuni; zebrała ona w ciągu tych wycieczek nie małą kollekcyą cyprysów.

„Po co te żałobne wieńce“, rzekła raz matka, „brakże to innych kwiatów i liści?“

„Są uczucia, które muszą być zawsze kirem powleczone“, odrzekł poeta smutno.

Na widok cyprysów, powtarzał z upodobaniem wiersz Aleksandra Chodźki; przełożony z perskiego zaczynał się od tych słów:

Cyprys różą swą dumny,
W maju nawet ponury,
Smętnie wznosi do góry,
Wzrost grobowéj kolumny!

W myśli Adama, on był cyprysem, Ewunia, była różą.

Późno wieczorem, turyści nasi stanęli w Subiaco. Tego dnia jeszcze po księżycu zwiedzili ruiny małego klasztorku, gdzie mieszkała niegdyś święta Scholattyka. Oglądali grób Benedyktynki Affry, o któréj krążą w kraju poetyczne podania. Strzelecki zapowiedział, że z tych podań ułoży powieść, w któréj i Adam i Ewunia mają odegrać ważną rolę Skończyło się na planie: powieść nigdy nie była ułożoną.

Wieczerza w tym dniu jeśli nie weselsza, za to obfitsza była niż w poprzedniéj przejażdzce; zabrano bowiem różne zapasy z Rzymu. Nazajutrz podróżni zwiedzili sławne opactwo, pełne starożytnych pomników, obejrzeli freski najdawniejszéj szkoły włoskiéj, poczém zapuścili się na mułach w głąb Abruzzów. Wycieczka przeciągnęła się trzy dni.

(C. d. n.)

TROKI.

(Z ryciną.)

Na stacyi „Landwerowo“ wysiadłem z wagonu, nająłem wózik i udałem się w drogę do Trok. Był to spokojny i ciepły poranek czerwcowy. Gwiazdy gasły jedne po drugich wśród brzasku wschodzącego słońca, a każda mrugnięciem żegnała ziemię, robaczki świętojańskie, zioła i krzewy z któremi igrał wietrzyk poranny. Cała przyroda, że powiem, oddychała spokojem, miłością. — Wyciągnięty na wózku tak melodyjnie skrzypiącym, przymrużyłem oczy, a myślą zatopiłem się w marzeniu o miłości Boga. Turkot dopiero bruku przerwał mi marzenia, obejrzałem się, byłem w Trokach — stolicy Kiejstuta.

Krótką modlitwą oddałem hołd Panu nad Pany przed cudownym obrazem Przeczystéj dziewicy w przybytku Bożym i spiesznym krokiem podążyłem przez rynek, na którym figura św. Jana Nepomucena a na niéj napis: „Troki założone r. 1045“, do ruin zamku lądowego. (W Trokach znajdują się dwa zamki.)

Kto nie widział ruin trudno sobie wystawi uroczą świętość z jaką po nich się stąpa, lękając się, by stopa nasza nie obraziła ich... Każdy kamień, każda cegiełka, każdy odłamek, każda trawka zda się, że do nas przemawiają. Nadstawisz ucha i słyszysz że coś między sobą gwarzą; biedny kto nie zrozumiał języka przeszłości, czyj wzrok nie dojrzał w zgniłéj ruinie życia. Biedny bo stracił wiarę, nadzieję, a biada mu jeżeli powie, że tu wszystko zamarło, zginęło, że z tych ruin spichrz byłby dogodny, a jakiż szczęśliwy kto zapłakał serdecznie, kto wszystko co ruina szepce zrozumiał.

Przyłóż spieczone usta do wilgotnéj cegły, odwilż jéj spleśniałą skorupę materyalizmu a ujrzysz w myśli wspominku zamkowe budowle opasane murem, najeżone ostrokołem, upięknione i ubezpieczone basztami, z których dzisiaj 5 jeszcze sterczy wśród zielonych jabłoni, co wyrosły na gruzach zamkowych pokoi.

Mur, którego szczątki tylko użyto obecnie do jakiéjś wozowni stawa cały, a na nim pogańskiéj Litwy dzieci zbrojne w kołczany bronią wstępu Teutonom. Posłuchajmy melodyi pieśni bojowéj siwego barda, co zasiadł przy bramie — słowa pieśni rycerzy Kiejstutowych nie zrozumiesz, lecz przeczujesz pieśni wątek, zaiskrzy ci się źrenica, dłoń z bratnią wspólnie mimowoli w kułak zwiniesz, pierś zawre, serce mocniéj zakołacze...

Też same uczucia owładną tobą gdy przeprawiwszy się przez sine jeziora fale staniesz na „wyspie zamkowéj“. Drugie tam urocze władzców Litwy siedlisko. Prócz szkieletu zamkowéj budowli pozostały dwie okrągłe baszty, nieco muru, co częścią jeszcze sterczy wśród zwalisk, kamieni i gruzów. Przejdźmy się od jednéj baszty do drugiéj, do zniszczonych komnat starego zamku i rozmarzony urokiem zwalisk widzisz zdziwiony Witołda z Jagiełłą otoczonych obcych dworów książęty, co przybyli na mającą nastąpić koronacyę Witołdową. Pierwsza chwila unii dwóch ludów ma być rozdartą ku zadowolnieniu niemieckich książąt. Omylili się w swéj radości, bo patrzaj — Witołd spoczął w bratnim uścisku wyciągniętych ku sobie ramion Jagiełły, a liczny poczet Polski panów z kniaziami Litwy zawołali: Litwa i Polska jeden naród, Litwie i Polsce jeden król wspólny...

Patrzaj daléj: tam Kazimierz Jagiellończyk otoczony dwoma synami i gronem panów podejmuje łaskawie posłów rzeczypospolitéj Weneckiéj, wszędzie dostatek, spokój, swoboda i zapomniałbyś w téj szczęśliwéj godzinie o troskach dziennych, gdyby ci nie przerwał dumania, głos karaińskiego wioślarza (co widząc szkic rysunku szepnął po cichu: „bies go opętał“) — panoczku, a kiedy wrócimy.

Przerwana nić marzeń, wracasz do miasta, liczącego dzisiaj około 5000 mieszkańców przeważnie Karaimów, pochodzenia tatarskiego.

Szarada.

Pierwsze w pewnéj mowie,
Dwa razy się zowie.
Gdy o drugie pytasz,
I to wspak przeczytasz,
Znajdziesz tam wszystko dla gości,
Do ubioru i żywności.
Całe — mąż znany, w nim rozumu wiele,
Stoi w swym kraju u steru na czele.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 18: *Granica.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu A. D. F.: Chętnie przesłalibyśmy żądany Nr. 18, ale podpis trzema literami niewystarcza do adresu. — Przy téj sposobności raz jeszcze zwracamy uwagę Szanownych Abonentów, że wszelka nieregularność w odbiorze pisma, pochodzi z winy poczty, a nie administracyi naszéj. — Panu Wołodemu Skibie w Krakowie: Przypominamy łaskawą Jego obietnicę, na urzeczywistnienie któréj niecierpliwie oczekujemy. — Panu S. M. W. autorowi poezyi „Nad kołyską“ Zdrajca, „Podarek młodéj dziewczenie“ i t. d. Forma poezyi pańskiej złą nie jest — być może zdradza nawet talent przyszły — ale dziś jeszcze do druku się nie dają. — Autorowi poezyi „Nawrócony“ we Lwówku: Zechciéj pan nadesłać coś z prac swoich wierszem lub prozą.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)